

Być może w niektórych z Was pozostał pewien niedosyt po moim niedzielnym wpisie o drzwiach i wnioskach płynących z 2019 roku.

Dlatego rozwinę dzisiaj wątek ostatniego wniosku, czyli "Ja".

Wczoraj we śnie kołatały mi się po głowie słowa piosenki *Fenix*:

Wypuszczam cię, Feniksie, na wolność.

Płoń! Spalaj się!



Z taką myślą otworzyłam rano oczy i już wiedziałam, że przede mną kolejny nagły zwrot akcji.

Osoba, która jest na ścieżce rozwoju i w sposób odważny patrzy w oczy swojemu Ja kryjącemu się pod *Ego* niczym śledź w tradycyjnej polskiej sałatce *śledź pod pierzynką majonezu*, nieustannie staje przed życiowymi zakrętami. Te zmiany bywają tak dramatyczne, diametralne i drastyczne, że czasami aż wstyd się przyznać – przed sobą i innymi – że oto zmieniasz zdanie i rezygnujesz z czegoś, co dla niektórych może wydawać się ostatecznym spełnieniem marzeń. Dzieje się tak, ponieważ od marzenia do jego manifestacji upływa zazwyczaj trochę czasu – szczególnie, jeśli marzenie jest bardziej złożone niż np. frytki na śniadanie. Jeśli osoba marząca jest na ścieżce rozwoju, to istnieje duża szansa, że w tym czasie rozwinie i zmieni się. Wtedy może się okazać, że stare marzenia i plany już nie pasują. Przynależą do dawnej energii, minionej wibracji, w której częstotliwości już nie nadajesz. To samo, notabene, dotyczy relacji z ludźmi. Bywa, że przestajecie nadawać na tych samych falach.

Ja ostatnio mam sporo takich sytuacji.

Tak więc wczoraj rano obudziłam się i wiedziałam, że nie pojedę do Cambridge i nie wygłoszę swojego referatu na Robinson College. We wrześniu 2019 roku, w trakcie pobytu w Swansea, gdzie wygłaszałam prezentację na Swansea University, podjęłam decyzję o aplikowaniu na coroczną konferencję BASEES. Byłam tam w kwietniu 2019 roku, ale tylko jako słuchaczka. Nie prezentowałam niczego.

Tamten wyjazd był dla mnie arcyciekawym. Po raz pierwszy w życiu byłam w Cambridge, nocowałam na kampusie, w jednoosobowym, zimnym pokoju z łazienką na korytarzu, którą dzieliłam z inną osobą. Na śniadanie zamiast najeść się do syta, nabawiłam się strasznego kaszlu, ponieważ stołówka była wychłodzona i panowały w niej przeciągi. Po tym doświadczeniu musiałam wyruszyć w miasto w poszukiwaniu jedzenia, które nie zawierałoby w sobie glutenu, nabiału krowiego ani mięsa. Marzyłam także o smacznej kawie.

Centrum Cambridge okazało się urokliwe, acz nieduże i dość przewidywalne. Zdecydowanie bardziej podobały mi się parki poszczególnych college'ów. Konferencja skupiała *starych wyjadaczy* studiów wschodnioeuropejskich. Wśród wykładowców i panelistów byli m.in. Timothy Garton Ash, którego czytałam jeszcze na studiach na Viadrynie, i Michaił Chodorkowski. Wykłady, dyskusje i referaty dotyczyły a to islamskiego terroryzmu w Rosji, a to wielkiego głodu w Ukrainie, a to wojen na terenach postsowieckich. O żadnym z tych tematów nie chciałam i nie chcę słuchać. Żaden z tych tematów nie współgra z moją filozofią życiową mówiącą o tym, że wszystko jest pokarmem, a umysł przyciąga to, z czym ma do czynienia.





Byłam zaintrygowana tą konferencją, tym brytyjskim światem akademickim, a równocześnie nudziło mnie to wszystko dogłębnie i zmuszało do drzemek w ciągu dnia. Na szczęście mój pokój był na kampusie. W ciągu tych trzech dni spędziłam tam gros czasu.

Z uroczystej kolacji zwiłam jeszcze przed deserem.

Rozmowy o terroryzmie przy stole?

Dziękuję bardzo. Idę posłuchać Esther.

Z tego wydarzenia wyjechałam przemarznięta, z drapiącym gardłem i nieprzyjemnym kaszlem. Wyjechałam do Londynu, gdzie z kolei wszystko mnie drażniło i trudno było mi cieszyć się tym pobytem, na który zostałam tam zaproszona. Nawet sztuka w National Gallery pozostawiła mnie niewzruszoną.



To wszystko przypomniało mi się zatem wczoraj rano.

A do tego – kilka tysięcy złotych, jakie wydałam na ten weekendowy wyjazd.

Wewnątrz mnie toczył się dialog:

- *I po co to?*

- *No, żeby wygłosić ten 20-minutowy wykład.*

- *I po co to?*

- *... Dla prestiżu???*

- *Seriously? A jakby to było odmówić wszystko i nie pojechać?*

- *OMGess!!! Tak! Tak! Tak! Nie pojechać! Wybieram.*

Jeśli tam nie pojedę, to nie muszę teraz przygotowywać tej prezentacji, którą odwlekam już od dwóch miesięcy!

*O Bogini, jak mnie się nie chce tam jechać, do tego zimna i tych nudów.
Jestem wolna! Mogę pisać doktorat, zamiast prezentacji o doktoracie.
Mogłabym nawet...
Mogłabym nawet pojechać do Bazylei na wystawę Hoppera!*

Decyzję podjęłam sprawnie i w orgazmicznej radości przystąpiłam do swoich zajęć związanych z fundacją.

Na pierwszy ogień poszła ewidencja sprzedaży, potem oświadczenie do urzędu skarbowego.

Gdy odchodziłam od stołu, zawibrował telefon.

Wiadomość od mamy głosiła:

- My w piątek jedziemy do Bazylei na koncert Leonarda w sobotę. Właśnie zamawiam pokoje w hotelu Krafft.

Słucham?

Nie pozostało mi nic innego, jak odpisać:

*- A ja? Ja też chcę do Bazylei!
- Dobrze. Zamawiam Ci pokój.*

To się nazywa *instant manifestation*.

Amen.

PS Być może trudno jest Wam zrozumieć wymiar tego wydarzenia, więc postaram się wyjaśnić.

W Bazylei, w Fondation Beyeler, która w 2016 roku zainspirowała mnie do ufundowania mojej własnej fundacji, trwa właśnie wystawa Edwarda Hoppera. Jest to jeden z moich najukochańszych malarzy. Do obrazów Hoppera mam stosunek metafizyczny, a nawet pisałam o Jego twórczości na początku prowadzenia bloga. To był chyba pierwszy tak obszerny wpis.

W chwili, gdy dokonałam wyboru, że idę za głosem *Ja* a nie za głosem *Ego*, wybrałam ten metafizyczny wymiar życia oraz pełne zaufanie w to, że *Ja* wie więcej, niż *Ego*. Ono pokieruje mnie tam, gdzie pragnę dotrzeć, ponieważ wie dokładnie, jaki jest kolejny konieczny krok. Należy bezwzględnie podążać za *Ja* i robić to, za czym idzie orgazmiczna radość istnienia – nawet jeśli wydaje się to nielogiczne. Esther mówi o tym tutaj i – przyznaję – że tego podcastu słuchałam przedwczoraj przed snem.

Jeśli rezygnacja z konferencji naukowej w Cambridge oznacza wizytę na wystawie Hoppera, to ... nie mam już więcej pytań, Wysoki Sądzie.